

HENRYK DROZDOWSKI
WARSZAWA

99 1313

Warszawa, dnia 6 maja 1946 r.

Do

Okręgowej Komisji do badań

zbrodni niemieckich w Warszawie

W a r s z a w a

Gmach Sądów przy ul. Lesznej 53/55
VI piętro, pokój 617, sędzieja H. Wegenko.

Przeczytawszy notatkę w Nr. 118 "Gazety Ludowej" w sprawie morderstw w "Stauferkaserne" na Rakowieckiej, pozwalam sobie przesłać niniejszym trochę moich wspomnień z tego czasu:

W dniu 1 sierpnia 1944 młodzież z AK punktualnie o godzinie 5-tej popoł. rozpoczęła atak na koszary SS przy Narbutta Nr. 33, róg Kazimierzowskiej. Z okien mego mieszkania przy ul. Narbutta 37 doskonale obserwowałem ważne zapoczątkowanie akcji powstania warszawskiego. Z placyku na Narbutta szły pierwsze polskie oddziały, początkowo czołgając się i skacząc, kryjąc się za latarniami i w bramach domów, docierały do domów Nr. 39 i 37 oraz Nr. 40 o 38 skąd prowadziły już obstrzał koszar. Przez posesje Nr. 38 i 40 powstańcy podwórzami przedzierali się do nieruchomości na Rakowieckiej, leżących vis-a-vis Stauferkaserne. Do naszej nieruchomości wkrótce przebito dziury w murach przez posesje od strony placyku i obsadzono w domu Nr. 35 naprzeciwko koszar wszystkie okna kryte jako-tako występami muru.

Chłopców było bardzo mało. W ataku na koszary Narbutta 33 brało udział najwyżej jakich 50 chłopców, przyczym wydawało się, że w dniu 1 sierpnia popołudniu byli oni górą nad Niemcami. Sytuacja radykalnie zmieniła się, gdy Niemcy otrzymali w nocy posiłki i ustawili armatkę na 2 piętrze tych koszar. To też nasi chłopcy, nie mając dostatecznej ilości broni i prawie żadnej

amunicji, nad ranem musieli się wycofać. Pamiętam ogólną naszą rozpacz, gdy akt tej decyzji miał miejsce na terenie mego mieszkania na tarasie I piętra. Była to smutna konieczność, bo nie było czym strzelać i choć opców z tej grupy odciągnięto częściowo do innych punktów (właśnie ku Rakowieckiej i w stronę Madalińskiego) i pozostało ich niewiele. Deszcz padał a dowódca oddziału porucznik Zbyszek Idzkiewicz był ranny. Dziewczeta go na plecach pod kulami zanoszły do szpitala Elżbietanek. Kilku chłopców Niemcy zabili.

Rano, wobec braku oporu ze strony polskiej w domach Nr. 39 i 37 kobiety starały się usunąć ślady walk nocnych, wymiatając łuski od naboju i błoto oraz ślady krwi, oczekując w każdej chwili wkroczenia Niemców. Niemcy jednak nie weszli aż do popołudnia w dniu 2 sierpnia, dlatego, że powstańcy, po wycofaniu się z rogu Narbutta i Kazimierzowskiej, atakowali koszary od strony Madalińskiego. Przed południem 2 sierpnia w brawurowym szturmie zdobyli przez włom w murach parter koszar i piwnice. Po południu musieli się wycofać. Nadjeżdżające "Tygrysy" witali buźleczkami z benzyną, ale nie unieszkodliwili żadnego z nich. Kilku młoców zginęło. Niemcy opanowali sytuację około 4-tej popołudniu. Ulicą Narbutta przejechały czołgi i miotacze ognia. Stojąc na poddaszu, aby pożar ewentualny gasić, od czułem namacalnie te płomienie na sobie. Do pożaru nie dopuściliśmy, woda była pod ręką.

O godzinie 4.m.15 większy oddział Niemców dostał się przez posesję, gdzie jest apteka (Narbutta 35) na teren naszej posesji przez dziury w murze, równocześnie od ulicy do bramy wtargnął drugi oddział, gdy czołgi stały przed domem. "Rrraus! alle raus auf die Strasse!" i mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko w ciągu minuty wyległo z domu, trzymając w rękach przegotowane na wypadek zbombardowania domu podręczne pakuneczki. Niemcy sprawdzili, czy kogo nie znajdują w mieszkaniach, a nas pod karabinami prowadzili łącznie z mieszkańcami szeregu okolicznych domów przez ulicę Kazimierzowską,

koło płonących domów (aż żar nas ogarniał) do koszar na Rakowieckiej. Kobiety niosły małe dzieci na rękach. Nikt nie płakał i nie krzyczał. Wszyscy zachowali się z godnością. Niemcy byli zdumieni postawą ludności. Widać było, że nie mieli wyraźnych dyspozycji jak należało postąpić z wypędzoną ludnością. Nie mieli jeszcze doświadczenia, ponieważ to byli dopiero pierwsi jeńcy w Powstaniu. Pod szeregami wycelowanych w nas łuf po drodze, dotarliśmy do Rakowieckiej i na podwórze zewnętrzne koszar. Tu stało już kilku wyższych oficerów SS. Każdego z nas przedtym obmacano, czy nie posiada broni. Kazano nam, mężczyznom iść na prawo, kobietom na lewo. Ponieważ mężczyznom kazano się ustawiać twarzą do ściany, a tyłem do podwórza, więc będąc przekonanym, że nas wkrótce rozstrzelają, pocałowałem żonę i dałem jej moją "bombardowniczą" walizeczkę w której miałem koszulę zapasową, kilka pamiątek i około 120 tysięcy złotych. Po chwili usłyszałem, jak mnie żona woła i jakiś oficer niemiecki, który rewidował walizkę zapytał mnie skąd mam tyle pieniędzy. Oczywiście jakichś SS-manów zaświeciły się do tej gotówki, jednak jakiś starszy oficer, dowiedziawszy się ode mnie, że byłem dyrektorem dużego przedsiębiorstwa, stwierdził, że to nie jest żadne przestępstwo, że taką gotówkę mam prawo mieć i kazał walizkę oddać żonie. Mnie cofnięto do szeregu mężczyzn ustawionych pod ścianą. Tymczasem zaczęły się już gromadzić tłumy mężczyzn i kobiet. Po chwili dowódcy zdecydowali, że nie będą rozstrzeliwać, że sprawdzą jeszcze coś i poczęto tłum spychać ku piwnicom i bocznym parterowym salom koszar. Pilnując moich najbliższych i kobiet z małymi dziećmi, znalazłem się w lewej wielkiej parterowej sali w grupie prawie wszystkich mieszkańców naszego domu. Na podwórzu rozległa się salwa. Ktoś powiedział, że rozstrzelano kilkunastu młodziaków i podejrzanych mężczyzn o udział w powstaniu. Kobiety w płacz. Zaduch i gorąco na sali. Ktoś mdleje, wody brak. Wreszcie około 7-ej wieczór jakiś podoficer o mocnym głosie powiedział, że władze nie-

nieckie puszcza bezbronną ludność z powrotem do domu, a zatrzymują tylko bandytów i powstańców. Powoli zaczęto tłum wypuszczać na podwórze zewnętrzne. Idąc z teściową i żoną, byłem pewien, że mam wolną drogę do domu, tymczasem na podwórzu sznur gestapowców poddzielał mężczyzn od kobiet i gdy kobiety wychodziły swobodnie, nas pchnięto znów pod ścianę boczną. Żona moja protestowała i nie chciała wyjść i gdy inne kobiety już poszły, stała jeszcze na podwórzu. Wówczas rzucił się na nią jakiś Niemiec i kolbą uderzył odpędzając. W tym samym momencie jakiś wesoły figlarz gestapowski, który stał z karabinem maszynowym na wieżyczce nad skrzydłem położonym naprzeciwko naszej ściany, puścił serję strzałów po murze naszej ściany o kilka centymetrów nad naszymi głowami. Ponieważ to było pasmo kul, od których mur nad naszymi głowami się sypał, więc mężczyźni, stojący w masie, bojąc się o swoje głowy, zaczęli kucać lub schylać się, w rezultacie zwarta masa przewróciła się ciągnąc jeden drugiego na ziemię. Żona moja, mając krótki wzrok i słysząc strzałów serję, a zobaczywszy, że mój teść i ja także upadliśmy, była przekonana, że jej mąż i ojciec zostali zabici, - w tej chwili dostała jeszcze kilka razy kolbą i została ostatecznie wypędzona z podwórza na Rakowiecką, skąd dobiegła zrozbiczona do domu, aby całą noc gasić pożar na dachu i od płonącego częściowo domu sąsiedniego zajmująca się ścianę.

Tymczasem zaczęto z pośród nas wybierać jakichś panów. Władzę, że wybrali Doktora Tarkowskiego, profesora Wakara, dyrektora spółdzielni i innych. Pytam się dokąd ich biorą? Otrzymuję wiadomość, że do sali 1-go piętra. Jakiś człowiek wskazał na mnie. Niemiec podszedł i pyta się czy ja jestem też Direktor czy Vorstand. Mówię, że i jedno i drugie. Wówczas kazał mi też iść za tamtymi. Gdy znalazłem się na sali, dowiedziałem się od już tam obecnych, że to są wybrani zakładowicy z tłumem. Wskoczyłem wobec tego do korytarza i do żołnierza prowadzącego tę selekcję powiedziałem, aby jeszcze zawołał tu generaldirektora gazowni, mego teścia Cz. Swierczewskiego, który był już z resztą tłumem

kierowany do piwnic, a widziałem, że dogodniejsze warunki są w sali na piętrze, niż w stłoczonym tłumie w piwnicach. Również udało mi się ściągnąć jeszcze jednego znajomego, inżyniera Schmidt-Medalińskiego, dyrektora Szkoły Zgromdz. Kupców i sprzedawcę maszyn z Mazowieckiej.

Po jakich dwu godzinach siedzenia naszego w lokalu, jak się okazało kasyna SS, - wystąpił do nas z przemówieniem jakiś dygnitarz SS, oświadczając, że powstanie to jest przestępstwo, jakich dotąd nie było, że bandyci polscy i t.d. w wielkiej ilości odp. epitetów potępiał naturalnie akcję i zakomunikował, że polecił z tłumu wybrać właśnie 60-ciu zakładników, którymi my jesteśmy, że ci zakładnicy to rozumieją chyba, że powstanie to nonsens, ale jako przedstawiciele polskiego społeczeństwa są odpowiedzialni za ideologię swoich rodaków. Z polecenia Führera oświadcza, że o ile powstanie warszawskie zostanie w ciągu kilku dni stłumione, to nam, jako zakładnikom nic się nie stanie, włos nam z głowy nie spadnie, o ile natomiast powstańcy będą nadal walczyć, to razem z całą polską ludnością Warszawy i my zostaniemy zabici.

Położyli nas pierwszej nocy na gołej podłodze, ale dali wodę, marmoladę i suchary w dowolnej ilości. Następnej nocy dali nam sienniki na podłogę. Przykrywaliśmy się paltami.

W nocy z dnia 2 na 3 sierpnia pod oknami naszego azylu zostało rozstrzelanych 84 mężczyzn. Trupy ich ułożono na ciężarówce i gdzieś wywieziono. Mówiono nam, że byli brani z domów, gdzie do Niemców strzelano i pochodzą z piwnicy naszych koszar. Obok naszej sali w koszarach oddano dwie mniejsze sale do dyspozycji Volsdeutscheów, którzy z żonami i dziećmi udali się pod opiekę władz Vaterlandu. Do nich, a właściwie do kobiet tam się znajdujących rozpoczęła się cała kawałkada różnych oficerów SS i podoficerów, którzy, po nawiązaniu rozmowy, zapraszali wesołe panienki do swoich pokoi na górne piętra. Piski i wyścia świadczyły o dalszych losach tych dziewcząt. Tymczasem do naszej sali przybyło też parę osób z żonami i córkami. Były to, jak się okazało żony i córki służby więzienia na Rakowieckiej oraz kobiety tych

urzędników niemieckich-polaków, którzy znaleźli się w rejonie już zajętych przez oddziały niemieckie. Między nimi była też żona profesora Wakara z S.G.H.

Drugiego dnia widzieliśmy płonącą Warszawę przez okna i olbrzymie ilości sowieckich samolotów, które przylatywały ratować nasze powstanie. Oczekiwaliśmy desantów angielskich i cudu, któryby nas i wszystkich więźniów pozostałych uratował. Cały dzień pędzono tłumy jeńców, przeważnie do piwnic. Wreszcie gdy już piwnice były też napełnione, dalsze transporty jeńców polskich lokowano już w budynkach garażów przy rogu ulicy Rakowieckiej i Puławskiej. Obserwowaliśmy z okien trupy na platformach i ludzi, którzy pod groźbą strażu musieli je ładować na platformy i razem z nimi wyjeżdżali z bramy w kierunku Alei Niepodległości.

W ciągu dnia został ranny na ulicy jakiś wyższy oficer niemiecki. Woceb tego gestapowcy wpadli do naszej sali i pytali kto z doktorów może podjąć się natychmiastowego zataśmowania krwi i operacji. Zgłosił się doktor Tarkowski, ale oświadczył, że nie posiada przy sobie narzędzi i musi iść z "Wachą" do siebie do domu po nie. Ponieważ Dr. Tarkowski mieszkał w naszym sąsiedztwie, prosiliśmy go, aby dał znać mojej żonie i teściowej, że ojciec i ja żyjemy. Tak się też stało. Od D-ty Tarkowskiego dowiedzieliśmy się, że powstanie nie tylko, że nie maleje, ale rozwija się i przychodzą naszym chłopcom na pomoc duże siły sowieckie i angielskie, natomiast na Mokotowie naszym niemcy zdobywają coraz to dalsze domy.

W nocy z trzeciego na czwarty dzień pijani niemcy wpadli do naszej sali i wyciągnęli kilku mężczyzn na przesłuchanie w Aleję Szucha. Następnego dnia osoby zawieszono w Aleję Szucha nie wróciły. Orgje z kobietami zaczęły przyjmować coraz to ostrzejsze formy. W nocy niemcy wdzili z latarkami i odkrywali nasze palta, patrząc, czy nie ukrywamy wśród nas kobiet. Kilka z sąsiedniej sali zabrali, przyczym płakały i rzucały się one na pijane bestje nie-

mieckie, ale to nic nie pomogło. Załamuję że moje notatki, w których miałem zapisane nazwiska niektórych oficerów i podoficerów SS i SD zniszczyłem, bo miałem to wszystko zapisane. Jeden z nich, dowódca główny naszych koszar nazywał się Obersturmführer Baumeister.

W naszej kantine zakładowej karmiono nas wystarczająco. W południe codziennie mieliśmy zupkę, wody sodowej w butelkach było ze dwa wagony w zapasie i bez ograniczenia suchary (Knäckerbrot). Jednakże stopniowe wybieranie zakładników na przesłuchanie w Aleję Szucha napawało mnie zgrozą. Zdawałem sobie sprawę doskonale, że o ile mnie też tak zabiorą to oznacza to już koniec życia. Ponieważ w czasie okupacji byłem już trzy razy przesłuchiwany w Alei Szucha i wprost cudem jeszcze dotąd uniknąłem śmierci, więc wiedziałem czym to pachnie.

Piątego dnia Obersturmführer Baumeister w towarzystwie kilku młodszych adjutantów i oficerów zakomunikował nam ponownie, że od dnia dzisiejszego wszyscy Volksdeutsche będą wywiezieni do Reichu, zaś w dowód tego, że Niemcy czują się pewni zwycięstwa nad powstańcami, zezwala nam, zakładnikom, również, abyśmy, o ile będą miejsca w autobusach wywozujących Volksdeustchów, deklarowali się na roboty do Niemiec. Transport będą kierowane do Kutna lub do Radogoszcza pod Łodzią. Po naradzie z kilku znajomymi panami, zdecydowaliśmy narazie nie jechać. W pierwszym transporcie pojechali sami funkcjonariusze niemieckich urzędów, Volksdeutsche oraz profesor Wakar z żoną. Postanowiliśmy z Madalińskim jakimś cudem zasięgnąć języka. Doktor Tarkowski, który znów do rannych chodził z "Wachą" przyniósł nam informacje o powstaniu z tym, że Niemcy posunęli się kawał naprzód na południe Mokotowa, że Śródmieście jest przez nich opanowane i t.p. Równocześnie ze zdobytych przez Niemców południowych części Mokotowa, z ul. Różanej, Bobełego, fortu Mokotowskiego i okolic przypędzono kilka tysięcy mężczyzn. Co się dało upchano do piwnic, a resztę popędzono do budynków pułku samochodowego przy rogu Puławskiej i Rakowieckiej. Niemieckie dowództwo znów wezwało nas kilkudziesięciu "zakładników" i zakomunikowano nam, że powstanie zo-

Jo już prawie opanowane, że cała broń i amunicja zrzucona z alianckich samolotów wpadła w ich ręce i że możemy być pewni, że już nie zostaniemy pozbawieni życia. Zresztą... dodał Baumeister, o ile nie znajdą nieprzewidziane okoliczności!. Z tego przemówienia widzieliśmy jasno, że z Niemcami nieXX jest tak dobrze i że powstania nie stłumili.

Noc z dnia 5 sierpnia na 6 sierpnia była straszna. Na Kazimierzowskiej w kierunku Madalińskiego, a może przy Różanej toczyła się musiała bardzo ostra walka, kulki waliły w nasze okna. Tygrysy po kilka naraz wyruszały do walki, wracały uszkodzone z zakrwawionymi żołnierzami, jakieś okropne naloty samolotowe, myśleliśmy, że to samoloty sowieckie (jak się potem okazało były to nurkowce niemieckie), spodziewaliśmy się, że już alianci, którzy przyszedli na pomoc naszym powstańcom lada chwila zdobędą Rakowiecką. Tymczasem nie, - oficerowie SS po ciężkich walkach upijali się na umór. Spaliliśmy już pokotem na podłodze w naszych salach, kiedy kilka pijanych bestji wlało i z latarkami świeciło w oczy każdemu, przede wszystkim szukając kobiet ukrytych, a powtóretych, którzy im się nie podobali. Około północy usłyszeliśmy straszną awanturę między oficerami, którzy się pobili, wreszcie. Kilku pijanych znalazło jakieś kobiety, podobno jakąś siostrę miłosierdzia polską zdobyli na ulicy, - jakieś niemki skądś się też znalazły i pęczy ich, krzyki i kwiki oraz pijany śmiech wywoływał ogólną modlitwę w sali i okropny strach. W tych godzinach zabrano znów na Aleję Szucha z przyległych sal kilku mężczyzn. Po północy regularne salwy rozstrzeliwanych pod oknami wewnętrznego podwórza, a mianowicie : krzyk, strzał, krzyk, strzał, krzyk, strzał i t.p. dawały nam pojęcie co się tam dzieje.

Nazajutrz piękna jesienna pogoda, chmury dymów na czystym niebie i beznadziejność siedzenia w zamknięciu. Obersturmführer Baumeister oświadczył, że Niemcy wspaniałomyślnie zdecydowali, aby mężczyźni ponad 80 lat wieku, mogli pójść do domu. Ponieważ teść

mój dochodził do tego wieku, zwróciłem się do Baumeistra z prośbą, aby też mógł więzienie opuścić. Wyraził na to swą zgodę i zapytał mnie, czy ja pojedę na roboty do Niemiec do Radogoszcza pod Łodzią. Oświadczyłem mu po namyśle i na radzeniu się ze Schmidtem-Madalińskim i Doktorem Tarkowskim, jak i z teściem moim Dyr. Swierczewskim, że pojedę o ile on się zgodzi, aby "Wacha", która odprowadzi starców na Narbutta, wstąpiła po moją żonę i aby żona ze mną razem pojechała. Baumeister, zresztą najporządniejszy z tych wszystkich gestapowców, którzy nas otaczali, zgodził się mówiąc, że ja sam mogę razem z Wachą pójść po żonę i że Wacha nas oboje przyprowadzi. Tak się też stało.

Żona i ja wzięliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy podróżne z domu i polecając naszą chudobę opiece teściów i domowych kobiet, wróciliśmy do koszar Stauferkaserne. Około godziny 4-tej popoł. zajechało 9 ciężarowych maszyn, w tym dwa autobusy i zaczęliśmy się sadowić. Zdziwiła mnie to, że sporo ludzi miało z sobą nawet duże toboły. Okazało się, że są to przeważnie funkcjonariusze więzienia mokotowskiego, którzy mieszkali naprzeciwko koszar. Dyrektor tego więzienia z żoną i dziećmi i kilku tobołami z pościelą jechał razem z nami. Resztę miejsca w ciężarówce wypełniły wódki "zarekwirowane" w pobliskiej fabryce Hulstkampa i obuwi z jakiegoś składu na Rakowieckiej oraz pledy i konserwy. Konwój dziewięciu ciężarówek ruszył w koniec Rakowieckiej, następnie ulicą Bobolego do fortów a stamtąd na Wolską szosę i dalej na Sochaczew.

W tym momencie zaczęło do nas strzelać z okien domków i willi na Bobolego, - strzelali powstańcy do uciekających Niemców. Z otworów i okien naszego autobusu powystawiali SS-mani karabiny maszynowe i łupili w odpowiedzi, Jeden z

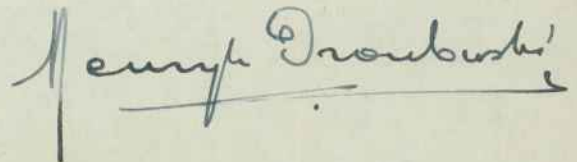
z nich zamiast strzelać w kierunku powstańców, strzelał w powietrze, albo po jednej kulce puszczał w każdą szybę domów, koło których przejeżdżaliśmy. Dziwna taktyka zdziwiła mnie, to też zapytałem czemu on tak się bawi. Otrzymałem odpowiedź, że on do bohaterskich chłopców tylko wtedy będzie strzelać, kiedy oni go zaatakują. Zaczął się wywnętrzać, że chłopcy mężnie walczą, że są to bohaterowie, że on podziwia odwagę, powstańców i tp i td.. Po chwili (wyjechaliśmy już pod Błonie) rozpięła mu się koszula na piersi, gorąco było niesmowite. Na szyi na łańcuszku wisiał mu złoty krzyżyk! Zwróciłem uwagę żonie. I w trakcie tego, gdy inni gestapowcy upijali się likierami Hulstkampa, zbliżyliśmy się do naszego gestapowca i ja zapytałem go: "Sie glauben nicht an Wotan, sondern an Gott?" - na co otrzymałem odpowiedź "Ich bin ein Katholiker, ein Franzose, je suis un Français!". "Alors parlerons français!" zaproponowałem i we trójkę ucieliśmy w tym języku, nie zrozumiałym dla pozostałych żołnierzy niemieckich, pogawędkę. Okazało się, że jest to Alzaczek, którego przemocą wzięto do formacji SS, gdyż w przeciwnym razie matce jego i siostrze zagrożono więzieniem; wstąpił do SS bo musiał, ale nie nawidzi prusaków, współczuje natomiast polakom i podziwia ich bohaterstwo. Rozmowa była coraz swobodniejsza, bo reszta Niemców śpiewała ochryple pijackie piosenki i była półprzytomna. Widząc co się święci, zapytałem go, czy nie mógłby nam pomóc. Mianowicie, o ile mi wiadomo, to przy przekraczaniu granicy Generalgouvernement i Reichu, t. zn. przed Kutnem lub przed Strykowem ~~XXXXXX~~ odbierają strażnicy celnicy pieniądze krakowskie i biżuterję. Ponieważ ja posiadam przy sobie 140 tysięcy złotych, dam mu połowę, a on nawzajem niech nas wysadzi jeszcze w granicach G.G. Gestapowiec zgodził się. Po chwili zatrzymał auto na chwilę na drodze, tak, że nasz samochód znalazł się ostatni w konwoju, a w chwili, kiedy przejeżdżaliśmy przez Łowicz,

samochód nasz był ostatnim w kolumnie, to też z łatwością zatrzymał go na środku pustego rynku. Wysadził nas i podarował nam jeszcze płed szary wojskowy i puszkę konserw. Gdy mu chciałem wręczyć umówioną kwotę 70 tysięcy - odmówił, ponieważ od Polaków nie mógłby wziąć pieniędzy za przysługę w biedzie, podał nam rękę i życzył szybkiego powrotu do Warszawy. My mu do jego rodzinnej Alzacji.

W ten cudowny sposób, przez przypadek zauważenia krzyżyka na piersi gestapowca, pozostaliśmy na terenie G.G. nie jadąc do Radogoszcza pod Łodzią. Już znacznie później dowiedzieliśmy się, że Niemcy tam wyładowali Polaków do zamkniętej fabryki i zapewniwszy całą nieruchomość, podpalili ją. W płomieniach, upieczeni żywcem zginęli tam liczni jeńcy, udający się "na roboty do Niemiec!".

W Łowiczu z trudem znalazłem mieszkanie i po kilku dniach dostałem posadę...

Tyle jest moich wspomnień ze "Staufferkasernen".



Warszawa, dnia 9 maja 1946 r.

HENRYK DROZDOWSKI
ekonomista
Konsultant Centralnego Urzędu
Planowania Prez. Rady Ministrów.

adres mój prywatny:
Warszawa,
Wrońskiego 15 m. 57
(u obywatela Popka).

Dotyczy do aut + KMH III / 1 d. 40
16-V 1946 w.r. prowadzący
Heserius